

# Klasyka w Olsztynie

Po ubiegłorocznym przedstawieniu „Trzech sióstr” Czechowa — w tym samym sezonie Teatr im. S. Jaracza w Olsztynie przygotował „Wujaszka Wanię”. Program teatralny do spektaklu, zapewne na prawach kontrastu do tego co widzimy na scenie, zawiera m.in. zdanie Niemirowicza-Danczenki: „Każda postać Czechowa nosi w sobie coś niedopowiedzianego, ukryty dramat, ukryte marzenia, całe wielkie życie”. I ta cecha dramaturgii Czechowa zwykle najsilniej oddziaływa — co zawiera się w ujęciu losów bohaterów, osadzonych w warunkowaniach im przeciwnych, w ludzkiej słabości i obiektywnej niemożności przekroczenia granic, krepujących ich szczęście. Bogactwo osobowości bohaterów Czechowa zwykle przekracza ramy życia, jakie prowadzą. Reżyserowi przedstawienia — Krzysztofowi Rościszewskiemu — ta warstwa utworu umknęła.

Obciążył postacie sceniczne odpowiedzialnością za ich los i traktując je jednowymiarowo — zbanalizował. Aktorom, którym powierzył role, nie starczyło środków na wydobycie subtelnej intymności oraz intensywności przeżyć bohaterów. Wujaszek Wania w wykonaniu Henryka Dłużyńskiego — to mały, chwilami histeryzujący kabotyn; jawnie obnosi się ze swoją krzywdą, za którą uporczywie w sposób napastliwy chciałby szukać odpowiedzialnych. Helena (Ewa Nijaki) to młoda

dziewczyna, z prostodusznością opiekująca się starym i schorowanym Sieriebriakowem (Stefan Burczyk). Z naiwnością daje się ona wciągnąć w romans z Astrowem, który jedynie swoją młodzieńczością może jej tu imponować. Andrzej Burzyński nie natchnął społecznikowskiego powołania tej postaci żadną głębszą, intelektualną refleksją. Małgorzata Peczyńska nie występowała wewnętrznych przeżyć Soni, a scen ostatnich rezygnacji i pogodzenia się z własnym losem — nie nappełniła wielkodusznością i

## TEATR

dramatyzmem. Jedynie Engenia Snieżko-Szafnagłowa stworzyła pełen ciepła portret starszej damy, zagubionej w rzeczywistości. Błędy obsadowe i splotona interpretacja odbiły się niekorzystnie na atmosferze spektaklu.

Za to niewątpliwym sukcesem zespołu jest „Iwona Księżniczka Burgunda” W. Gombrowicza w reżyserii Henryka Baranowskiego.

Stworzył on przedstawienie wartkie, zwiewne, czytelne. Inszenizacyjnie bogate — jest tu i orkiestra dęta i paradne marsze święty króla Ignacego i aria Jontka z „Halki”. Wszystko to daje kolorowy, poprzehierany światek dworski, pełen blichtru, kokieteryi, emanujący samouwielbieniem.

Na tym tle pojawia się w waciaciu i wytartej sukience Iwona. Grana sugestywnie przez Małgorzatę Peczyńską, od chwili wejścia na scenę staje się postacią centralną, mimowolnym sterem poczynają pary królewskiej i dworaków. Jej Iwona wyraża zdziwienie, chwilami nie pozbawione lęku, i zaciekawienia nową sytuacją, w jakiej się znalazła. Niesie z sobą naiwną szczerzość dziecka i nieuchwytny czar, któremu ulega Filip; nawiązuje się między nimi nić zainteresowania i sympatii. Wobec usiłowań dworu podporządkowania jej obowiązującej konwencji, a potem ośmieszenia i zniszczenia, budzi się w Iwonie świadomość własnej odrębności, której zaczyna bronić — mimo przeczucia tragiczne! konsekwencji.

Interesującą postać króla Ignacego stworzył tu Henryk Dłużyński — znerwicowanego i demaskującego pod wpływem obecności Iwony swoje skryte namiętności i słabości. Dobre momenty (szczególnie w szekspirowskim duchu utrzymana scena ujawniania grafomańskich wierszy) miała Małgorzata Jakubiec w roli królowej Małgorzaty. Prawdziwą i konsekwentnie prowadzoną postacią był Filip w wykonaniu Jana Pęczka — za słaby na to, aby wirwać w postanowieniu prowokacyjnego bycia „innym” w ramach swojego środowiska. W sumie — dobre aktorstwo połączyło się w tym przedstawieniu ze sprawną reżyserią.